
Jak odbyłem aplikację adwokacką : (praca konkursowa)

Palestra 6/12(60), 10-17

1962

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Jak odbyłem aplikację adwokacką*

(praca konkursowa)

Decyzja o wyborze zawodu

Chcę zacząć od zwierzenia, które budzi zawsze uśmiech ironicznego niedowierzania: wyboru zawodu dokonałem mając lat 13 lub 14 i od tego czasu nie doznawałem żadnych wahań co do słuszności tej decyzji. Przeczytałem wtedy „Obrony sądowe” Śmiarowskiego i zbiór sprawozdań sądowych Ireny Krzywickiej „Sąd idzie”. Trudno mi dziś ocenić, w jakim stopniu ta lektura wpłynęła na moje postanowienie i jakie jeszcze zaważyły czynniki.

Moją „decyzję” uważano w domu za dziecinną, ale w gruncie rzeczy nieszkodliwą. Nikt nie próbował mnie od niej odwozić, nikt też nie starał się jej umocnić. Tak już zostało i jakoś przyzwyczailem się do myśli o tym, że zostanę adwokatem.

Starania o wpis

Po otrzymaniu dyplomu rozpocząłem starania o wpis na listę, które trwały okrągło siedem lat. Relacja z owych prób wspięcia się na szklaną górę aplikacji adwokackiej zajęłaby zbyt wiele miejsca i mijałaby się z konkursowym tematem. A można by o tym napisać prawdziwie i... gorzko. Ograniczę się więc tylko do informacji, że moje wnioski leżały w roku 1953 we wszystkich izbach adwokackich w Polsce.

Konkursowy egzamin kwalifikacyjny

Egzamin konkursowy stanowił rozdział sam dla siebie. Wiadomo było, że do egzaminu przystępuje około 150 kandydatów ubiegających się o 8 wolnych miejsc. Moje szanse oceniałem jako czysto teoretyczne. Przez dziewięć lat (od trzeciego roku studiów) pracowałem w biurze i nie mogłem równać się z tymi, którzy po ukończeniu uniwersytetu mieli nadal z prawem do czynienia jako asystenci czy radcowie prawni

*) Zgodnie z życzeniem autora Redakcja nie podaje jego nazwiska.

przedsiębiorstw. Uważałem jednak, że zawsze jest w życiu taki autobus, który odchodzi z przystanku ostatni. Trzeba starać się zająć w nim miejsce.

Los uśmiechnął się do mnie werdyktem komisji. Uzyskałem miejsce, które jeśli nie gwarantowało, to w każdym razie dawało ogromne prawdopodobieństwo uzyskania wpisu. Istotnie, w miesiąc później wpisano mnie na listę aplikantów adwokackich.

Zartobliwie nazywano ten egzamin „zgaduj-zgadulą”. Wyśmiewali się z niej poniektórzy, a najbardziej oczywiście ci, którzy dostali najmniej punktów. Wydaje mi się jednak, że była to dobra forma selekcji kandydatów. W każdym razie dzięki „zgaduj-zgaduli” wygrałem swoją życiową szansę i dlatego wspominam to przeżycie z sympatią i wzruszeniem.

Pierwsze kroki

Najpierw niesłychanie gorliwie przedstawiałem się wszystkim członkom zespołu, niektórym nawet dwukrotnie, gdyż nie byłem w stanie od razu zapamiętać 25 nowych twarzy. Nabyłem zaś już przedtem tę wiedzę, że kto nie chce uchodzić za źle wychowanego zarozumialca, ten powinien się przede wszystkim przedstawiać i witać. To zawsze — jeśli nawet nie usposabia życzliwie — działa jakoś uspokajająco.

Zaraz pierwszego dnia posłano mnie na jakąś sprawę o alimenty. Potem polecono mi przepisywać akta, zasięgnąć informacji w prokuraturze, w sekretariatach sądowych. Po pewnym czasie obsługiwałem już drobne sprawy karne. Nieco później dawano mi do pisania pisma procesowe, rewizje. Wreszcie mój kalendarz zaczął zapełniać się terminami rozpraw i notatkami o czynnościach, które miałem wykonać.

I tak na „stawaniu” w sądach, przepisywaniu akt, pisaniu pozwów i rewizji, bieganiu po sekretariatach — upłynęło trzy lata.

Wymagania

Wymagania, jakie stawiali mi moi kolejni patronowie i członkowie zespołu korzystający z mojej pomocy, były nieco odmienne, aniżeli tego oczekiwałem, rozpoczynając aplikację. Oczekiwałem bowiem głównie wymagań w zakresie kwalifikacji; przypuszczałem, że będą ode mnie żądali znajomości przepisów prawa, orzecznictwa, że będą mi wytykali błędy i oceniali wystąpienia przed sądem. Tymczasem wymagania te dotyczyły raczej ilości i terminowości świadczonych przeze mnie usług aniżeli ich jakości.

Starłem się przejrzeć i czytelnie pisać notatki z rozpraw, dublując sądowego protokolanta, porządkowałem otrzymywane akta, starannie pisałem na maszynie pisma, które polecono mi sporządzić, nie zapomniałem na ogół o poleceniach, nie spóźniałem się. Usiłowałem być po urzędniczemu skrupulatny i dokładny. To wystarczało i nie żądano ode mnie więcej. To też chyba sprawiło, że jako aplikant cieszyłem się niezłą opinią i jeżeli zdarzały się między mną a adwokatami niepatronami jakieś krótkie spięcia, to tylko z powodu odmowy podjęcia się zastępstwa. Niektórzy członkowie zespołu (trzeba powiedzieć — nie-liczni) byli skłonni do podejrzeń, że aplikant próbuje się „wymigiwać” od pracy. Jak gdyby nie rozumieli, że gdy się kilkunastu „panom” służy, nie można dogodzić wszystkim.

Pracowałem więc, ale nie uczyłem się. Niektórzy przekonywali mnie, że właśnie praca aplikanta stanowi dla niego najlepszą naukę, ale nie zdołali mnie przekonać. I teraz także uważam, że choć praca aplikanta i nauka stanowią zakresy zachodzące na siebie, to jednak płaszczyzna ich pokrywania się jest w gruncie rzeczy bardzo niewielka.

N a u k a

Rozpoczynając aplikację przyrzekłem sobie, że będę się uczył systematycznie, aby uniknąć owej nieznosnej, denerwującej atmosfery przed końcowym egzaminem, kiedy człowiek zaczyna bezradnie miotać się w obliczu ogromnego materiału ze świadomością, iż nie zdoła go już opanować.

Tak sobie przyrzekałem, ale przyrzeczenia nie dotrzymałem. Wytrwałem w tym postanowieniu może przez dwa miesiące, może dłużej i — przestałem się uczyć.

Miałem coraz więcej zajęć, dużo całodniowych wyjazdów do prowincjonalnych sądów i nie starczało mi po prostu na codzienną, systematyczną naukę ani czasu, ani sił. Nie miałem również — i to też ważyło w dużej mierze — dostatecznie silnego bodźca w postaci kontroli czy atmosfery współzawodnictwa, aby mimo wszystko wytrwać w swoim postanowieniu.

Próby zajmowania się lekturą fachową w czasie wyczekiwania na rozprawę czy w czasie wolnym między rozprawami nie zdały egzaminu. Nie umiałem też wykorzystywać na naukę wolnych godzin, np. między obiadem a pójściem do zespołu. Wieczorami zaś, jeśli nawet nie miałem nic do pisania, byłem zmęczony i nie chciało mi się zabierać do książki.

Ograniczyłem się więc do tego, że czytałem orzeczenia Sądu Najwyższego — i to głównie w sprawach karnych — i starałem się w miarę

możności czytać orzecznictwo i komentarze wiążące się z problematyką tych spraw, które mi powierzano. Przy braku jednak opanowania całości materiału nie dawało to, moim zdaniem, wystarczających rezultatów.

Patronowie

Wydaje się, że regułą było przydzielanie aplikantów tym adwokatom, którzy mieli wielkie kancelarie. Uzdolnienia pedagogiczne patronów, a nawet w pewnych wypadkach ich kwalifikacje zawodowe nie stanowiły chyba czynnika rozstrzygającego. Niektórzy jednak aplikanci (i ja wśród nich) mieli szczęście trafiać do adwokatów wybitnych. Jeżeli nawet taki patron nie zawsze miał swojego aplikanta, to jednak zetknięcie się z jego kancelarią (akta!) i z nim samym było kształcące i stanowiło niewymierną korzyść.

Inna rzecz, że gdyby trzeba było w mieście wojewódzkim ustanowić dla 50 aplikantów 100 patronów, to zapewne trudno byłoby znaleźć owych 100 wybitnych praktyków, aby wszystkich aplikantów sprawiedliwie nimi obdzielić.

Praktyka była jednak taka, że obdzielano patronów aplikantami, a nie odwrotnie. Wydawało mi się niewątpliwe, że to, jaką korzyść odniesie patron ze swojego aplikanta, było znacznie ważniejsze od tego, jaką korzyść będzie miał aplikant ze współpracy ze swoim patronem. Odpowiedzialność patrona za przygotowanie aplikanta do samodzielnego wykonywania zawodu pozostawała w sferze teorii, poza może nielicznymi wyjątkami potwierdzającymi regułę.

Oczywiście upraszczam i generalizuję. Sam mógłbym sypnąć przykładami, że tu i ówdzie było inaczej. Były to jednak — według mojej orientacji — wypadki sporadyczne, nie zmieniające ogólnego stanu rzeczy.

Adwokaci mieli do nas różne pretensje, czasem słuszne, czasem krzywdzące. I my miewaliśmy niekiedy pretensje do adwokatów i obmawialiśmy ich z bezsilną satysfakcją. Było więc — tak jak to jest w życiu.

Miałem podczas aplikacji czterech patronów. O dwóch spośród nich chciałbym napisać kilka ciepłych i wdzięcznych słów. Byli wobec mnie eleganccy i koleżeńscy. Miałem do nich całkowite zaufanie i znajdowałem u nich zawsze pomoc i radę, czasem nawet w sprawach nie związanych bezpośrednio z aplikacją. Starłem się być wobec nich jak najbardziej lojalny, lojalność bowiem uważam zawsze za dobrą formę wdzięczności.

Przenoszenie aplikantów

Kiedy tylko zaczynano mówić o wymianie aplikantów między zespołami, powstawała panika. Korzystaliśmy z wszystkich możliwych wpływów i uruchamialiśmy wszelkie interwencje, aby tylko uniknąć przeniesienia do innego zespołu.

Pamiętam, że raz nasz „wójt”, który samozwańczo nazywał siebie „dziekanem aplikantów”, zebrał ankietowo życzenia wszystkich co do tego, czy chcą przeniesienia i do którego mianowicie zespołu. Okazało się, że dosłownie nikt nie chciał iść na nowe i nieznane. Nie chcieli nawet ci, którzy przedtem wyrażali niezadowolenie ze swojego zespołu. Jeden tylko z kolegów, który aplikował w indywidualnej kancelarii, prosił o przeniesienie do zespołu, czemu zresztą uczyniono zadość.

Adwokaci nawołujący do przenoszenia aplikantów szermowali argumentem, że aplikant powinien poznać kilka kancelarii, różne style pracy. Większość kancelarii ma niepełny wachlarz agend, praca więc w jednej kancelarii nie może wszechstronnie przygotować do zawodu. Jest w tym trochę prawdy, ale trzeba też powiedzieć, że dawny system odbywania całej aplikacji u jednego patrona wychował jednak wielu znakomych adwokatów. Ponadto, gdy w jednym zespole jest 25 adwokatów, to można przecież przydzielać aplikanta kolejno kilku patronom w obrębie tego samego zespołu i wtedy ów rzekomy cel przyświecający zwolennikom przenosin zostanie osiągnięty.

Przeniesienie do innego zespołu powinno być traktowane tylko jako swoista kara wymierzona aplikantowi, który nie wywiązuje się zadowalająco ze swoich obowiązków.

Szkolenie

Szkolenie odbywało się co tydzień, w soboty. Co pewien czas zapowiadano uporządkowanie zajęć i takie ich rozplanowanie, aby materiał szkoleniowy obejmował w okresie trzech lat cały program. Istotnie plan taki opracowano i realizowano go z pewnymi odchyleniami. Ponieważ jednak reformy te nastąpiły bodajże w drugim roku mojej aplikacji, złożyło się tak, że z aplikantami mojego „rzutu” niektóre przedmioty przerobiono na szkoleniu dwukrotnie, innych zaś nie przerobiono ani razu.

Zaostrzano rygory w zakresie frekwencji. Zapowiadano zwiększenie wymagań co do postępów w nauce. Frekwencja istotnie poprawiła się szybko, w stopniu chyba zadowalającym, natomiast trudno mi osądzić, jak ogólnie oceniano nasze postępy w szkoleniu.

Opuszczając zajęcia, tłumaczyliśmy się otrzymywanymi zleceniami zastępstw na soboty. Była to zresztą przeważnie szczerą prawdą. Zakazywano więc nam surowo przyjmowania jakichkolwiek zleceń na ten dzień tygodnia. Nie zawsze jednak było łatwo zastosować się do tego. Czy zakazywano również adwokatom udzielania zleceń aplikantom w dni szkolenia — nie wiem. Jeżeli tak, to byli jednak tacy, którzy nie stosowali się do tego zakazu.

Trzeba powiedzieć, że samo szkolenie pojmowane było dość jednostronnie. Zawsze np. wydawało mi się, że niezwykle kształcące byłoby dla nas przysłuchiwanie się wielkim procesom karnym, w których biorą udział wybitni obrońcy. Proponowałem nawet kiedyś jednemu z członków Komisji Szkoleniowej, aby uczynić z tego jedną z form szkolenia objętą regulaminem i udzielać aplikantom zwolnień od bieżących przedpołudniowych zajęć na czas trwania takiego procesu. O ile wiem, możliwości takiej nie próbowano rozważać. Prawdopodobnie dlatego, że wymagałoby to pewnego nakładu pracy organizacyjnej, a przede wszystkim wyłączałoby dość często aplikantów z ich funkcji usługowych, pozbawieni więc wyreki patronowie mieliby kłopoty i kolizje. Problem podobny do tego, jaki wywołują studia zaoczne, dezorganizujące bieżące zajęcia zawodowe studiujących z powodu zwolnień na egzaminy i konsultacje.

Mnie samemu zaledwie kilka razy udało się przysłuchiwać poważnym procesom, interesującym zarówno ze względu na materię prawną, jak i ze względu na kwalifikacje zawodowe obrońców. Obserwacja ta dała mi korzyści, jakich oczywiście nie odniósłbym nigdy z praktyki „własnych” procesów. Nie mam bowiem żadnych wątpliwości, że tego wszystkiego, czego aplikant nie może się sam nauczyć z ustawy, komentarza, podręcznika i literatury fachowej, powinien się nauczyć od patrona albo innych adwokatów, obserwując ich na rozprawach i korzystając z ich pouczeń i rad. Przeświadczenie, że aplikant dojdzie sam do tego, jak należy prawidłowo wykonywać zawód, jest najbłędniejsze pod słońcem. Można wprawdzie twierdzić, że aplikant występujący przed sądem ma możliwość obserwowania innych adwokatów i wyciągania z tej obserwacji nauki dla siebie, ale aplikantów posyła się zazwyczaj na drobne, bezproblemowe procesy, więc i korzyść, jaką te procesy dają, jest niewielka.

Prośiliśmy też kiedyś (było to na krótko przed egzaminem adwokackim), aby wykładowcy urządzali kontrolne, okresowe kolokwia dla sprawdzenia stopnia opanowania materiału. Kolokwia takie byłyby znakomitym środkiem kontroli postępów i bodźcem do systematycznej

pracy. Dowiedzieliśmy się jednak, że właściwie kolokwiów takich urządzić nie wolno, a ponadto obciążyłyby to wykładowców dalszymi obowiązkami.

Nikt nigdy nie uczył nas taktyki procesu. Nie uczono nas też, jak należy przemawiać do sądu. Pozostawiano w tej dziedzinie aplikantów samym sobie. Jeżeli poziom niektórych wystąpień aplikantów czy adwokatów wydaje się zenujący, to w dużej mierze przyczyną tego jest brak dobrej szkoły, jaką powinna dać aplikacja.

Ogólnie biorąc, nie nazbyt pilnie przygotowywałem się do sobotnich zajęć. Mimo to dały mi one dość dużo i sporo się nauczyłem. Znacznie mniej co prawda niż powinienem był i znacznie mniej niż mogłem — ale o to już tylko do siebie mogę mieć pretensję.

Egzamin adwokacki

Uważałem za rzecz niemal oburzającą, że aplikantom udziela się tylko miesięcznego urlopu na przygotowanie się do egzaminu. Wprawdzie aplikant powinien uczyć się przez całe trzy lata, ale wiadomo, że w rzeczywistości aplikanci zaczynają naprawdę uczyć się dopiero na kilka miesięcy przed terminem końcowego egzaminu.

Chciałem być w porządku wobec zespołu i złożyłem prośbę o udzielenie mi bezpłatnego miesięcznego urlopu na przygotowywanie się do egzaminu. Wyliczyłem, że łącznie z nie wykorzystanym urlopem wypoczynkowym i tymi kilku tygodniami tuż przed samym egzaminem, kiedy już nikt nie ma sumienia zatrudniać aplikanta — dałoby to prawie cztery miesiące spokojnej nauki. Jednakże Rada odmówiła mi tego urlopu. Ustnie dowiedziałem się, że Wydział Wykonawczy niechętnie patrzy na urlopy bezpłatne aplikantów i uważa, że nie powinny one być wliczane do okresu aplikacji, gdyż przerywają korzystanie z praktyki. Wprawdzie istotnie nauka przed egzaminem przerywa w jakimś stopniu korzystanie z praktyki, jednakże sama konstrukcja tej zasady w stosunku do mego wypadku była zbyt finezyjna, aby mogła mnie przekonać.

Tak więc udało mi się wyprosić u patrona dość daleko idącą ulgi i uczyłem się razem z kolegą przez cztery miesiące. Niezłe nam nawet szło, ale nie zdołaliśmy zrobić wszystkiego tak, jak to mieliśmy w planie. Brakowało nam według naszej oceny jeszcze dwu miesięcy na drobne przedmioty i na ostatnie, trzecie powtórzenie przedmiotów głównych. W sumie jednak byliśmy dość dobrze przygotowani i zdawaliśmy sobie sprawę, że problem tkwi raczej w tym, jak zdamy, a nie w tym, czy zdamy.

Pytano mnie przez niespełna dwie godziny. Jedni pytali łatwo, inni trudno. Trudniej, niż mogłem się tego spodziewać. Albo tylko tak mi się wydawało, albo też oczekiwano ode mnie więcej, niż na to zasługiwałem.

Po egzaminie były przemówienia i gratulacje, a potem lampka wina w gabinecie dziekana. Było bardzo uroczyście i wszyscy byli w odświeżonych nastrojach.

Po kilku dniach zacząłem szukać w sklepach odpowiedniego materiału na uszycie togi...